OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 18/30 Września 1868 roku.

Nr 39. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzić będzie w Kwartale IV-m r. b. na tych samych jak dotąd warunkach prenumeraty, to jest:

Rs. **jeden** *kwartalnie w kopertach, prenumerując na stacjach pocztowych, kop. 75 kwartalnie w opaskach nadsyłając lub składając prenumeratę w Redakcyi. Kop. 20 miesięcznie w Warszawie w kantorach lub w Redakcyi.*

Obok ciągłej staranności w ulepszeniu strony zewnętrznej wydawnictwa, Redakcya zapewnić może dążenie do podniesienia wewnętrznej wartości pisma, tak, aby odpowiedziała słusznym wymaganiom czytelników.

Po ukończeniu powieści **Adama Pługa** *dla Opiekuna Domowego napisanej pod tytułem* **„Świetne wychowanie"**, *zapowiedzieć może Redakcya kilka innych powieści większej wartości, przez znanych w pismiennictwie autorów przygotowywanych, pomiędzy innemi wkrótce rozpoczniemy druk powieści* **Wołodego Skiby**. *Upraszamy prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnowienie prenumeraty, od tego bowiem zależeć będzie, regularność w odbiorze zwłaszcza pierwszych N-rów w nadchodzącym kwartale.*



Kościół w Piasecznie.

KOŚCIÓŁ w Piasecznie.

Starożytne gmachy obudzają w nas podobne uczucie poszanowania, jakiego doznajemy wchodząc do grona szronem siwizny okrytych starców Tém bardziéj zaś jeżeli owe gmachy przez przeciąg wielu wieków ku czci Pana zastępów przeznaczone były.

Takiego uczucia dozna zapewne każdy przekraczając progi kościoła w mieście Piasecznie, położoném w gubernji i powiecie Warszawskim, nad rzeką Jeziorną.

Kościół ten należy do najstarożytniejszych w kraju, albowiem został założony w ostatnich latach XIV-go wieku. Zbudowany pierwotnie pod wezwaniem Ś-go Macieja i Ś-téj Anny, później nosił tytuł Wszystkich Świętych. Kościół tutejszy dobrze był uposażony przez Annę księżnę Mazowiecką, żonę Bolesława, jak to pokazuje przywiléj wydany 1458 roku, z kościoła tego boczne ściany pozostały w dawnym stanie, a z tych tylna mianowicie odznacza się oryginalną strukturą, budzącą podziw znawców i miłośników architektury. Kościół w Piasecznie odnawiał roku 1726 własnym kosztem August Sułkowski, tutejszy starosta. Przy téj restauracyi odmieniono kształt dachu, dając go w jednéj wysokości zarówno nad tylną, jak i nad przednią częścią. Wówczas postawiono też na ścianie szczytowéj figurę ś. Jana Nepomucena, która po dziś dzień ją zdobi. Przy powtórnéj restauracji w r. 1833 mury jego częścią tynkiem obrzucono, a częścią tylko pobielono.

Wielki ołtarz, ufundowany przez Augusta Sułkowskiego, ma niezły obraz ś. Trójcy i pięknie jest zbudowany. Również zwraca uwagę obraz ś. Anny, umieszczony w jednym z bocznych ołtarzy, dobrego, acz nieznanego pendzla. Niegdyś było zapewnie nie mało nagrobków, obecnie same tylko ślady gdzie niegdzie w posadzce się dochowały.

O samém mieście, a raczej miasteczku, Piasecznie nie wiele da się powiedzieć. Niegdyś zamożne, dziś posiada 96 domów, 1328 głów ludności, magistrat, stacją pocztową i 6 jarmarków do roku. Ostatniemi czasy słychać było o zawiązaniu się tu *towarzystwa gospodyń* [1]) czy pomienione towarzystwo egzystuje, a jeżeli tak, jakie są jego cele, środki dążności? — wyznajemy otwarcie że nic a nic o tém nie wiemy. U nas bo łatwiéj często dowiedzieć się o tém co się dzieje w Ameryce, aniżeli w miejscowości o kilka mil odległéj.

Zresztą, dodamy w końcu że jak kościół, tak i samo miasto należy do bardzo dawnych w Królestwie. *Rzemieślnik z Mostowéj ulicy.*

MARKO i MILICA.

(DUMA SERBSKA.)

Był młody Marko — mężnie wojował,
Lecz mu Bóg zdrowie w boju zachował—
Ostatni z rodu, co był ofiarnie,
Został przy życiu — lecz na męczarnie....
Pojmał go Turczyn i na pal skazał—
I znów ocalał—choć basza kazał,
Bo *bajram* nadszedł, palów niestało,
Zbirom przed świętem spocząć się chciało—
„Uciekaj sobie, rzekł mu odźwierny,
Zdasz się na potem—psie ty niewierny!"

I młody Marko, z boleścią w łonie,
Błądził po kraju, jak w obcej stronie—
Nigdzie znajomej chaty—ni twarzy—
Wśród mogił zgliszcze tylko się żarzy....
A że dobytek postradał wszelki,
Ujął siekierę—i żył z ciesiełki.

I w rok, czy we dwa krasną dziewoję,
Pojął—by życie ułatwić swoje —
By pod ukryciem domowej strzechy,
Krótkiej, kradzionej doznać pociechy—
Nim muzułmanin w drzwi zakołacze,
Po krew, po zdrowie—lub po haracze!

Aż raz go basza zazwał surowy,
Każąc mu stawiać meczet cisowy—
I licho płacąc, nadesłał straże,
Prędko bóżnicę budować każe.
Piękna Milica, ubrana schludnie,
Przynosi obiad w każde południe—
I razem z mężem przy skromnej strawie,
Szepczą po cichu o dawnej sławie—
I jeszcze ciszej —choć nikt nie słucha,
Miłosne słówka szepczą do ucha.
Potem odchodzi —żeby o zmroku,
Męża w serdecznym spotkać uroku.

Pewnego razu, piękna Milica,
Przyszła jak co dzień—odkryła lica,
I przy budowie, siadła na drewnie,
Czekając męża, dumała rzewnie....
Wtem nędzny setnik tureckiej straży,
Zbliżyć się sobie do niej poważy—
I brudnem słowem serce jej mroził,
I swym uściskiem brudnym zagroził.
Trwożna Milica, w serdecznej męce,
Na krzyż sdrędwiałe złożyła ręce—
Bronić się, pierzchnąć nie miała siły,
Drżącą, łzy tylko chłodne okryły....
Dojrzał to Marko i w mgnieniu oka,
Z oka szybkością, skoczył z wysoka,
Porwał nędznika, zwalił i dławił,
Aż się gorącą juchą zakrwawił.

Zbiegła się zbirów gromada cała,
I z pod stóp jego Turka wyrwała—
A potem Marka za włos powlekli,
I jak snop zboża kijami siekli,
Myśląc, że skonał—ciało skrwawione,
Psom na pożarcie, rzucili w stronę.
Milica biedna, jak kamień stała,
I na katownie męża patrzała—
Co się w jej sercu działo w tej chwili,
Tego najszczersza pieśń nie wykwili —
Męczeńskie brzemię takiej boleści,
W znikome dźwięki słów się nie mieści.

Zsiniałe ciało Marka—Milica
Wzięła na barki—silna jak lwica,
Bo tak ją miłość na duchu wzmogła,
By go ratować i zbawić mogła—
Lecz nie do swojej niosła go chaty,
Gdzie ich zbiedz mogły tureckie czaty—
A w ustroń leśną, kędy w gęstwinie,
Nieznaną turkom znała jaskinię.
Tam wonne zioła, zdrojowa woda,
Oddech Milicy i dusza młoda,
Zwalczyły boleść, bliską skonania—
Marko ozdrowiał—i wstał z posłania.

„Milico moja! wołał ze łzami—
Czy jeszcze słonko świéci nad nami?
Czy ty tu przy mnie, czy ja przy tobie?
Czy to sen tylko tak miły—w grobie?
Milica milcząc, na jego szyję,
Zarzuci ręce, jak dwie lilije—
I do ust usta w całunku plecie....
Aż Marko uczuł, że jest na świecie....
„Lecz cóż poczniemy—zła dola nasza,
Wszędzie nas mściwy dosięgnie basza!"

[1]) Robimy zastrzeżenie, bo Towarzystwo gospodyń miało się zawiązać w *Piasecznie* w Prussach zachodnich. (*Redakcja.*)

Nie trwóż się Marku!— rzecze Milica,
Choroba twoje zmarszczyła lica,
I pochyliła kark twój ku ziemi,
I włos przetkała pasmy srebrnemi;
Nikt cię nie pozna—takeś zmieniony,
Jakbyś pół wieku przeżył zmęczony.

Marko w zdrój spojrzał, sam się zadziwił,
Smutnym uśmiechem twarz swą wykrzywił,
I rzekł: Milico! w lat twoich wiośnie,
Takiego starca czyż ścierpisz znośnie?
„Marku mój miły! mój najmilejszy,
Tyś mi ten samy, nawet piękniejszy,
Tyś mi na zawsze pozostał w oku,
W młodej piękności twojej uroku!"
„Dzięki ci, dzięki, Milico złota!
Służyć ci będę resztą żywota—
Ale cóż dalej poczniemy sobie?
Gdy mnie poznają wszędzie—po tobie!"

„Jam pomyślała o tem, mój drogi!
Tylko ty pozwól i nie bądź srogi....
Znam ja na puszczy trujące zioła,
Których moc rysy me zmienić zdoła,
Skóra popęka, twarz się wykrzywi—
Nikt mnie nie pozna—będziem szczęśliwi!"

I w tejże chwili, piękna Milica,
W obrzydłe zielska obwija lica....
Marko podskoczył, zielsko wychwycił—
Lecz już jad zgubny twarz jéj nasycił—
I już nie piękną, młodą Milicę,
Ale pożółkłą ujrzał martwicę....
„Cóżeś zrobiła, Milico droga!
Tracąc twe wdzięki, dane od Boga?...."

„O! to najmniejsza z ofiar, te wdzięki!
Byle od mściwej ukryć cię ręki—
Byleś tak kochał twoją Milicę,
Jak kiedy piękne nosiła lice"!....

Marko w uścisku, z rozpaczą smętną,
Dał jej odpowiedź—bez słów pojętną—
I między ludzi wyszli z parowu,
By na chléb ciężko pracować znowu.
Nikt ich nie poznał, już się nie straszą
Spotkać z setnikiem i srogim baszą—
Ale dla siebie zawsze zostali,
Jakiemi byli, gdy się poznali....
Marko wciąż widział piękną Milicę,
Milica Marka młodzieńcze lice—
Bo żyli w Bogu—bo ich wiązała,
Wspólna dusz piękność, nie piękność ciała.

Jan Prusinowski.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz N. 38-my).

I z czułością wziął ją za rękę, i w oczy jéj spojrzał z rzewnym uśmiechem. Lecz ten, jak błyskawica przemknął tylko po jego twarzy, na którą nagle chmura troski wybiła.

— Cóż to jest?—z niespokojem zagadnął.— Oczy zapłakane, czerwone, podsiniałe! Tyś blada jak po chorobie!.. Cóż się stało na miłość Boga?!

— Nic, nic, drogi Ignasiu!—zawołała biedna kobieta, rękę jego ucałowawszy i spiesznie odstąpiła od okna, żeby ukryć się w cieniu.—To tak z trwogi o ciebie, żeś nie powrócił wczora. Kublicki spojrzał na nią badawczo, zachwiał głową ze smutkiem i rzekł mocno wzruszony:

— Ej, nie prawdę mówisz, Anielciu! musiałaś mieć jakąś zgryzotę... Nie dręczże mnie, a powiedz!

— Ależ ja ci powiadam... Ot czegoś mi było smutno i straszno; dzieciństwo!

— I nic więcéj?

— A nic!—odrzekła łzawo, unikając jego spójrzenia.

— Jak mię kochasz?

— Jak...—i zająknęła się biedna; a po chwili dodała:

— Ukradziono z lasu dwa dęby!

— Kiedyż to?

— Jeszcze onegdaj.

— No, to nie moja wina; wszak mię zastępował Krupecki.... A zresztą ja złodzieja wyśledzę; ja te dęby wyśledzę choćby pod ziemią! a nie znajdę, no, to zapłacę. Byłoż czego tak gryść się?... Musiały być inne powody. Powiedz prawdę zupełną, jak mię kochasz, Anielciu!

— Michał aż trzy razy przysyłał, na gwałt wzywając cię do dworu, a niedawno sam przyjeżdżał, rozgniewany, wściekły ze złości!... wymyślał tu i groził okropnie! I rozpłakała się rzewnie.

— Trzeba było go psami wyszczuć! — huknął nagle Kublicki, zatrząsłszy się z passji wielkiéj. Drwię ja z jego gniewu i groźby! Mam już miejsce gotowe; zdam mu folwark niezwłocznie, a jak tylko błyśnie słoneczko, uwolnię się raz na zawsze. Dziś jeszcze to mu oświadczę.

Kublicka z uniesieniem radosnem upadła mu na piersi. — O mój drogi! o mój jedyny! — zawołała ze łkaniem, — to nie jedź że do niego! nie pokazuj mu się na oczy!... Wynośmy się prędzej z Jamiołki! wynośmy się na miłość Boga! uciekajmy choćby dziś jeszcze!... Ja się boję o ciebie! ja przeczuwam coś okropnego!... Mój Ignasiu! mój złoty! usłuchaj mię nie jedź do dworu!

— Uspokój się, Anielciu! — odpowiedział jej na to łagodniej, lecz stanowczo. Ja uciekać nie mogę, bom nie złodziej, ni oszust; a rzuciwszy folwark bez zdania, krzywdę bym dziedzicowi wyrządził i sam sobie bardzo zaszkodził. Michała się nie boję, i jakem ci powiedział, dzisiaj mu jeszcze podziękuję za służbę, a nic mi się złego nie stanie. Zresztą pogadamy o tem, jak wrócę, a tymczasem dajże mi wódki.

Podała, on nalawszy sobie kieliszek, rzekł z uśmiechem: Za twoje zdrowie—wychylił, zagryzł chlebem razowym, i uścisnąwszy swą Anielcię stroskaną, ruszył po gospodarstwie. Wprzód tylko parobkowi nakazał, żeby dobrze konie nakarmił, bo za parę godzin najpóźniej do Hreczyna pójdą biedaki.

Kublicka, pozostawszy sama z dziatkami, pełna trwogi niezmiernej, połykając łzy gorzkie, zajęła się jednak sierotką, którą w najtkliwszy sposób starała się ugłaskać, upieścić, *przychołubić* do siebie. Poiła ją, karmiła, coraz to nowe wynajdując przysmaki, a pytała o matkę, o siostrzyczki i braci, i o wszystko co biedne dziecię mogło żywiej zajmować. Rozruszało się też niebożątko powoli, uśmiechać się nawet zaczęło i tulić się do niej pieszczotnie, i mamą ją nazywać, i całować siostry przybrane, co jeszcze mocniej rozrzewniało Kublicką, która

garnąc do siebie tę miluchą dziecinkę, ilekroć wzrok rzuciła przypadkiem na jej czarną sukienkę, białą taśmą obszytą, a przytem posłyszała z ust jej *mamo* serdeczne, mimowoli zadrżeć musiała, zimne dreszcze czując aż w głębi serca, jakby ten strój żałobny jej rodzone dziecko okrywał.

Wrócił wreszcie Kublicki i raźno się przysiadł do stołu; na którym nań herbata i przekąska czekały. Dziatwa wyniosła się do alkierzyka, a on żoną zaczął gawędzić o szczegółach swoiej podróży. Opowiadanie o pogrzebie braterskim i o smutnej doli bratowej zasępiło mu lica, łzą poczciwą oczy zamgliło i zwrót jakiś żałobny wszystkim jego myślom nadało.

— Ej że! — mowił z westchniem, jakie nędzne to ludzkie życie!... mój Boże! ten Jacenty nieborak... dwa tygodnie jakem go widział... zdrów jak dąb, krzepki, czerstwy, rumiany, wesół aż miło! a dziś, ot już i po nim!

— Ha! prawdę to mówią ludzie, że śmierć w zęby nie patrzy! Bo ktożby się spodziewał, że go żona pochowa, co sama już od trzech lat ciągle umiera? Pochowała nieboga! a co prawda, to prawda, pochowała uczciwie! Nie wiem czy jej na obwinięcie palca zostało co z pogrzebu, ale to wiem, że ni ciału ni duszy jego w niczem nie poskąpiła. Trumna, panie porządna, obijana czarnym półaksamitem z galonami srebrnemi, z kutasami sutemi, z antabami na nóżkach; karawan z caluteńką paradą na ludzi i na konie, a co światła, chorągwi! i obaj księża prowadzili piechotą, pomimo takiej słoty i błota. W kościele znów katafalk prawie aż pod sklepienie, a świec i lamp przy nim bez liku! A jakie nabożeństwo wspaniałe, raz wieczorem po eksportacji, potem znowu nazajutrz przed pogrzebem śliczne egzekwije i aż dwie msze żałobne, jedna cicha, druga śpiewana! A dziadom rozruciła tyle jałmużny, że gdyby choć po jednym pacierzu odmówił z nich każdy pokornie, toby Jacuś mój pewnie do Nieba się dostał prościutko. Ot, doprawdy nie żal umierać, żeby taki śliczny mieć pogrzeb!... Pamiętajże Anielciu i ty mnie tak pochowaj!

Kublicka, która z pilną uwagą słuchała opowieści mężowskiej w uroczystym ducha nastroju, na ostatnie jego wyrazy porwała się z przestrachem, jakby gromem ze snu zbudzona, dłońmi załamanemi oczy sobie zakrywszy, tak rzewliwie płakać zaczęła, że nieborak Ignacy, mimo czułych próśb i perswadowań, ledwie nieledwie utulić ją w żalu potrafił. Gdy się wreszcie uspokoiła, on tak dalej ciągnął opwiadanie:

— Co do biednej naszej bratowej, doprawdy nie wiem, jak dziś ona sobie da radę? Ani wątpić, że pogrzeb męża zabrał całą gotówkę; pociągnęła się, jak to mówią, z ostatka, a nawet coś podobno sprzedała. Dziś bez grosza przy duszy, bez sposobu do życia,—(bo któż ją z czworgiem dziatek przyjmie na służbę?) czas tam jakiś jeszcze podycha, póki nie doje remanentów mężowskich, a potem... zagryzie się na śmierć nieboga, no to choć z torbami pod kościół! Najęła sobie we wsi chatę z ogrodem i myśli, że igiełką na chleb zarobi; ale podobno ten nieszczęsny chleb z igły, igłą chyba jeść można! Jak nam Pan Bóg pomoże, trzeba będzie o niéj pamiętać; a tymczasem wziąłem Jagusię. Myśle sobie: gdzie czworo, tam się piąte łatwo pożywi, i jakoś to tam będzie. Bo wtedy nie trafiła mi się jeszcze ta służba, o której ci wspomniałem; alem sobie powiedział: ba, choćby i na bruku, my szczęśliwsi od Jacentowej, bo nas dwoje, a ona jedna! nam Bóg może jeszcze dać lepszą dolę, a jej cała dola już w grobie! Wziąłem tedy Jagusię, sieroteczkę moją kochaną, i zaraz przez nią pozyskałem Boską opiekę. Przez nią mówię wyraźnie, bo gdybym sam był wracał do domu, tobym się nie zatrzymał w Hatce na nocleg; a w Hatce to mię szczęście spotkało. Rozgadawszy się ze starym Chaimem, posłyszałem od niego, że pan Marszałek na gwałt potrzebuje dziś komisarza. Ucieszony tem nie tracąc czasu, udałem się do dworu, w kilku słowach dobiłem targu, podpisałem kontrakt formalny, i możemy choćby i zaraz do Hatki się przenosić, gdzie i pensje i ordynarję o połowę większą będziemy mieli, a co ze wszystkiego najlepsze, uwolnimy się od napaści Michała.

— O dziękiż Bogu! dzięki Bogu! wołała z rzewnem uniesieniem kobieta, dłonie jak w modlitwie złożone, przyciskając do piersi. O gdybyż się prędzej ztąd wynieść! gdyby prędzej słota ustała i ten nieszczęsny folwark już przyjęto od ciebie!... Uwolnimy się od Michała! O, to szczęście z niczem nieporównane!... Dzięki Bogu miłosiernemu.

— Dzięki Mu! — dodał uroczyście Kublicki, — lecz że miłosierdzie Jego nam przyszło z przygarniętą biedną sierotą, tośmy Jemu przez nią powinni szczerą wdzięczność okazać. Nie opuszczę jej nigdy; jak rodzone dziecko ukocham i wychowam poczciwie; a gdyby podobało się Bogu wprzód mię zabrać ze świata, to pamiętaj, droga Anielciu, żebyś i za siebie i za mnie do serca ją garnęła.

— Znów o śmierci!.. o mój Ignacy!—zawołała żona z żałością, — zkąd ci takie myśli grobowe?.. Mnie tak straszno się robi! tak coś ciężko na duszy!...

— Cóż chcesz?—odparł Kublicki,—przecież nie z wesela wróciłem! Ciągle mi w uszach *wieczny odpoczynek* brzmi jeszcze, a napis na katafalku: *dziś mnie a jutro tobie* pod trupiemi głowami, ciągle w oczach majaczy.—No, no, tylko nie płacz, dziecino. Przecież Boga o śmierć nie proszę, bo mi z tobą dobrze na świecie!... Gdyby moja w tem wola, tobym nigdy nie chciał umierać!

Przygarnął ją czule do siebie i przykrość pomimowolną szczerym pocałunkiem nagrodził.

— Razem też i bądź zdrowa, moja niebogo!— rzekł, raz jeszcze ją uścisnąwszy.— Słyszę, konie już zaszły; muszę jechać do dworu, choć doprawdy coś mi się nie chce.

— Nie jedź kotku! nie jedź, mój ty jedyny!— zabłagała Aniela, z objęć go swych nie wypuszczając:

— Dziecinisz się, babinko!—odrzekł na to z uśmiechem,—jakże mogę nie jechać, kiedy trzeba skończyć z Michałem... Bądź zdrowa i rozsądna! za godzinę powrócę.

Uwolnił się od jéj uścisku i ku drzwiom już postąpił, kiedy nagle coś przypomniawszy, zatrzymał się w progu i zawołał: dzieci! dzieci! chodźcie tutaj!

Wszystkie trzy, na głos jego przybiegły, a on zwracając się do swoich, odezwał się do nich łagodnie.

— Bądźcież mi tutaj grzeczne; bawcie się z Ja-

gusieńko ładniutko; nie róbcie jej w niczem przykrości, dogadzajcie we wszystkiem. Wiecie że to sierota i że jéj krzywdzić nie wolno! Powinniście ją kochać, jak rodzoną siostrzyczkę, a starać się na to zasłużyć, żeby was pokochała nawzajem. Pamiętajcie o tem na całe życie.

Potem wszystkie pogłaskał i ucałował i już brał się za klamkę, kiedy spostrzegł, że żona maleńkiego wzięła z kołyski, co właśnie był się zbudził w tej chwili.

— A! zawołał z wielką uciechą — jeszczem go powróciwszy nie widział!. Pokaż no tego bębna, Anielciu! Niechaj mu się przypatrzę, czy nie urósł podczas mej niebytności?

Kublicka podała mu chłopczyka; on z nim podszedł do okna, i z miłością weń się wpatrując, zaczął doń się uśmiechać, przymilać się, przemawiać tym językiem pieszczotnym, z tą mimiką ucieszną, których tajemnicy może nauczyć tylko serce czyste i kochające, a które na anielskie lica dziecięcia wywoływać zwykły uśmiech anielski. To też i chłopczyna się roześmiał, i za wąsy go chwycił, i ozwał się tą mową, co dla ucha obojętnego jest bełkotem często niemiłym, a dla duszy ojca i matki, prawdziwym na padole płaczu, hymnem niebiańskim, łzą słodką zalewającym oczy, i na wszelkie troski i bóle błogie zapomnienie dającym.

Popieściwszy i pohuśtawszy swego malca przez chwilę, Kublicki do Jagusi go podniósł i rzekł, przysiadając z nim przy niej:

— Poznajże się i ty z nową siostrzyczką; uściśnij ją, pocałuj i pokochaj ładniutko!

Nachylił go do jej twarzyczki, a chłopiec, który wiedział o co rzecz idzie, po swojemu rozkaz wykonał: złapał dziewczę za uszy i obślinił jéj buzię, co ją tak ucieszyło, że chwyciwszy jego nóżęta serdecznie je ucałowała.

— Ot tak! ślicznie! — śmiał się Kublicki, ani wątpić, że będzie kochał. Będzież, chłopcze? nie prawdaż? No, pamiętaj!... Ale dość tego! Furman i konie mokną, a ja tu się bawię, jak dziecko. Weź go mamo; i bądźcie zdrowi! Oddał żonie dziecinę, ręką od ust wszystkich pożegnał; bądźcie zdrowi! Bóg zwami! — raz jeszcze rzekł od progu, i z pośpiechem wyszedł z pokoju.

— Przynajmniej że nie baw się długo!— zawołała za nim żona żałośnie; ale już jej musiał nie słyszeć, bo nic nie odpowiedział. Odjechał, ona została z dziećmi, smutna i przygnębiona jakimś ciężkiem przeczuciem.

Niestety! przeczucie to było niemylne!

Gdy Kublicki przybył do dworu, Michał tylko co powstał od późnego obiadu, przy którym, jeżeli zwykle dobrze się raczył, hojnie czerpiąc z piwnicy, w Czorstyńskich bardzo zasobnej, to dzisiaj, tem solenniej sobie pozwolił, dla zalania robaka, co go w sercu wywiózł z Jemiołki. To też uwiadomiony, że taki to ekonom oczekuje jego rozkazów, wnet go kazał wołać do siebie; a ledwie ten u progu się zjawił, rzucił się doń z furją straszliwą, i pięści zaciskając gwałtownie krzyknął, a raczej wybełkotał trzęsącemi się usty:

— Jak śmiałeś, łajdaczyć się po stypach, zapominać o służbie i złodziejom na pastwę pańskie dobro oddawać?! (*D. c. n.*)

PODRÓŻ NAD WARTĘ.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 38-my).

Przejechaliśmy mosty, przejechaliśmy rogatkę, a ja wciąż zatopiony w dawnych szkólnych czasach dumałem i marzyłem jakbym był w siódmem Niebie, jakby w zachwyceniu, nie słysząc grającej trąbki ani áni rżenia koni. Dopiero gdy bruk zawarczał pod kołami furgonu, drgnąłem, i jakiś dreszcz rozkoszy przebiegł elektrycznie po całem mojem ciele, zmuszając mnie do otworzenia okna i przypatrywania się migającym w śród nocy cieni domom. Minąwszy rynek, stanęliśmy przed jakąś ocienioną kasztanami kamienicą. Patrzę, tu dawniej mieszkał professor historji, a teraz, teraz — Urząd Pocztowy. Postarawszy się o zniesienie mych rzeczy, udałem się do pasażerskiego pokoju, by jeszcze cokolwiek spocząć nim widno się zrobi, a zamówiwszy sobie ekstrapocztę do Warty, położyłem się na sofie w ubraniu spać i zasnąłem snem sprawiedliwych. Kurjerka pojechała na Błaszki do Kalisza.

Już dobrze słońce jaśniało na Niebie kiedym się ocknął, jakoś rzeźwiejszy i raźniejszy trochę, a umywszy się w zimnej i źródlanej wodzie, kiedym jeszcze pociągnął całą piersią rannego balsamicznego powietrza, kiedy mnie owiał wiatr jakiś łagodny, trzeźwiący, niby strumień długiego życia, czułem się w swoim żywiole, zdrów i silny jak ryba w wodzie, jak ptak w powietrzu.

Wyszedłem do miasta.

Wszystko tak jak było
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Te same budowle, też same ulice, ten sam rynek tylko że wybrukowany niedawno. A szkoły?... I szkoły stoją w tem samem miejscu i kościoły i place i rzeka — wszystko tak jak dawniej, wszystko tak jak było, tylko nie masz moich professorów i kolegów, tylko nie masz do kogo zagadać, pomówić, bo to wszystko obce, nieznajome, a choć i nie obce, to już nie pozna dziś człeka po tylu latach i zmianach, więc lepiej dajmy im pokój.

Wyście mnie zapomnieli — ale ja was pomnę:
Wasze twarze, postacie, mam w sercu przytomne,
Oddźwięk waszego głosu co mi się przysłyszy,
Przypomni kartę książki moich towarzyszy,
I cały szereg pytań przed oczy mi stanie,
I który z nas nie umiał, kto umiał zadanie,
I myślę w głębi ducha: Boże, jaki przedział!

Syrokomla. *Urodzony J. Dęboróg.*

Sieradz miasto powiatowe rządowe, należy do najstarożytniejszych grodów w Polsce i od niepamiętnych czasów miało już swój zamek obronny. Była to jedna z dzielnic starszych synów królewskich. Bolesław Krzywousty, potem brat jego Zbigniew byli książętami Sieradzkimi. Mieszkał tu także Leszek Czarny z nieznośną i sfarliwą swą żoną Gryfiną, która mu nawet process wytoczyła za to że jej nie mógł kochać. Roku 1287 Tatarzy zrabowali i złupili miasto tak, że zdawało się, iż się więcej nie podniesie na nogi do dobrego bytu. Potem znów Wacław król Czeski wojując z Łokietkiem, zdobył je i spalił, ale zamku dostać nie mógł. Krzyżacy wpadli tu 1331 r., Szwedzi aż po dwa razy. A morowa zaraza, a ogień i inne tym podobne klęski, niemało przyczyniły się do upadku i biedy tutejszych mieszkańców; jednakże pomimo to Sieradz aż do połowy XVII wieku był miastem ludnem i znacznem. Było tu dawniej 60 brukowanych

ulic, a bruki te po dziś dzień odkrywają jeden na drugim i to nawet z archeologicznemi korzyściami, albowiem raz w czasie wynalezienia takowego, dobyto z ziemi kawał skamieniałego dębu, a z pod niego żywą ropuchę, która przy najlepszem zdrowiu żyła sześć tygodni, lecz zdechła gdy ją dla zakonserwowania spirytusem nalano. Miasto było obwiedzione murem i wałem, a szczątki tych starożytnych murów jeszcze przed dziesięciu laty widziałem. Zamek którego metryka dochodzi może aż do XI wieku, upadać już zaczął po najściu Szwedów w XVII wieku; a Niemczewicz podróżując tu w 1828 roku widział zaledwie z niego kilka sterczących ścian. Wytrzymawszy wiele oblężeń i szturmów, stał się nareszcie pastwą dla wszystkich co potrzebowali cegły i kamienia, do tego stopnia, że dziś widząc mały pagórek za miastem na zielonym łęgu, trudno się nawet domyślić że w tem miejscu stał niegdyś ów potężny i zbrojny, oblany dookoła wodą, gmach. Podziemia w tym zamku służyły za turmy dla więźniów i niewolników. W nich to siedział sławny na swoje czasy awanturnik i nieprzyjaciel Leszka Czarnego, Biskup krakowski Paweł z Przemankowa. Oprócz tego, Sieradz posiada jeszcze dwa murowane kościoły: parafialny, dawniej kollegjacki, drugi podominikański; trzeci zaś drewniany Ś-go Ducha, na cmentarzu grzebalnem za miastem. Jest tu także więzienie karne; bardzo piękny park i kilka starannie utrzymanych prywatnych ogrodów. Jest i Szpital Ś-go Józefa, pięcioklassowa szkoła powiatowa, (dziś juz zniesiona) pensja żeńska, trzech doktorów i dwie apteki. Wogóle Sieradz policzyć można do miast zamożniejszych i lepiej się jeszcze mających.

Już miałem siadać i jechać, kiedy na rogu jednej ulicy spotkałem ciągnący pogrzeb. Para koników wiozła na wypchanym słomą wozie białą z czterech desek zbitą trumnę, dokoła kobiety, chłopi i dzieci szli śpiewając: *Kto się w opiekę*, a na samym końcu wolno postępowała i łkała w głos młoda jakaś wiejska dziewczyna. Ciekawość mnie zdjęła i nie wiele myśląc zapytałem idącego tuż koło mnie parobka:

— A kto to umarł, mój bracie?

— Ta, jeden parobczak, Walek.

— Długo też chorował?

— Ho, ho, trzy lata go zmora dusiła, zesechł, zeżółkł kieby drzazga i poszedł chudzina na tamten świat.

— Dziwną mi się zdaje ta zmora, ale jak to było?

— Proszę pana, dawniej kiedy był jeszcze galantym chłopakiem, żyła we wsi Maryna wdowa po owczarzu i koniecznie jej się chciało aby się z nią żenił. Nieboszczyk Walek nie chciał, bo się miał ku Zośce sołtysiance, a i ona się miała ku niemu. Ale Maryna kiedy nie mogła nic wskórać w taką złość wpadła, że jakiemiś czarami popsuła serce sołtysów dla Walka, coś sobie do niego uwidzieli, i choć się młodzi ogniście kochali, nie chcieli mu dać córki. Maryna niedługo umarła i po śmierci zamieniła się w zmorę. Od tego czasu co noc przychodziła i jakby kamieniem dusiła nieboszczyka, że sobie rady dać nie mógł. Ba, nawet i Zośkę, nieraz odwiedzała, bo i ta poczęła schnąć i marnieć, a kiedy czasem spotkała się z Walkiem to myślałem że się zapłacze. Biedny chłopak, mówił że gdyby nie miał Boga w sercu, to albo by się powiesił albo utopił. Miły Jezu, nie mógł wytrzymać takiego duszenia i umarł.

— A Zośka jest tutaj na pogrzebie?

— Dyć oto idzie tam na końcu i płacze. Pójdzie i ona za nim niedługo....

Przypatrzywszy się zbliska tej zajmującej dziewczynie, tej boleści wyrytej na jej twarzy, poznałem co to była za zmora....

— Mój bracie, nie zmora to nie zmora, to żal za dziewczyną, to kochanie tak go ściskało za serce, a srogość sołtysów kamieniem mu ciężyła we śnie.

— Ej bo my to nie wiemy... przecież i mnie już psiapara dusiła.

Widząc że naprędce go nie przekonam, dałem mu na ten raz pokój; a chcąc oddać ostatnią posługę zwłokom nieszczęśliwego Walka, poszedłem z całym orszakiem na cmentarz, modliłem się za jego duszę do Boga i kiedy na sznurach spuścili trumnę do grobu, rzuciłem weń z najlepszemi życzeniami trzy garście ziemi i razem z drugiemi śpiewałem przejmującą pieśń: *Witaj Królowa Nieba i Matko litości!* Zośka lamentowała aż w piersiach się krajało. Wychodząc z cmentarza, chciała dać parę groszy dziadom, ale snać zapomniała wziąść z sobą pieniędzy, bo jeszcze bardziej zaczęła płakać i fartuchem oczy zakryła. Bez żadnej chęci błyszczenia sam za nią wypełniłem ten święty obowiązek i anim się spodział jaka mnie za to spotkała nagroda. Poczciwa Zośka pocałowała mnie w rękę i przerywanym głosem wyrzekła:

— Bóg zapłać panu, Bóg zapłać, bom ja zabaczyła...

— Nie masz mi za co dziękować moja Zosiu. Ale już nie płacz bo się rozchorujesz, nie płacz — Bóg cię pocieszy.

— Kto mnie tam teraz pocieszy.... — a pochwili namysłu dodała. Pan pewnie tutejszy?

— Nie, ja tylko tu zajechałem w te strony.

— A na długo?

— Dla czegóż się o to pytasz?

— Bo i ja lada dzień umrę, to możeby pan był na moim pogrzebie, zaśpiewał tak jak dziś i dał może co dziadom, bo tu o mnie nikt nie będzie pamiętał.... Nie ma już Walka....

Pocieszałem ją jak mogłem, ale co to znaczą obce słowa zbolałej duszy, zranionemu sercu! Powoli oddaliliśmy się od cmentarza, a gdyśmy stanęli na rogu miasta, całe pogrzebowe grono udało się bez namysłu do stojącej między dwoma traktami karczmy, stosując w czynie to dawne przysłowie: że na frasunek dobry trunek. Zośka tylko jedna poszła samotna do domu. Ja też widząc że jest około godziny dziewiątej, udałem się na pocztę a znalazłszy już gotową bryczkę i oczekującego na mnie pocztyljona, wsiadłem i prostym traktem ruszyłem ku Warcie.

Przez jakiś czas marzyłem jeszcze o tej wiejskiej miłości, tak tragicznie zakończonej, o tych ciemnych wyobrażeniach ludu, który do każdego prawie szczęścia lub nieszczęścia, z braku oświaty, miesza różne wpływy nadprzyrodzonych rzeczy. O zmorach dziwne tu mają wyobrażenie. Wierzą iż one po nocach nietylko ludzi, bydło, konie, lecz nawet wodę i ciernie duszą, dla tego też zrana mają bardzo na oku niewiasty pomaczane i podrapane. Zmora może się przemienić w różne istoty: w kota, żabę, powróz i t. p. a najczęściej dostaje się dziurką od klucza w kształcie słomki. Chcąc się od niej uchro-

nić, potrzeba dzień i noc nosić przy sobie igłę wetkniętą w koszulę, albo nóż w łóżko na noc włożyć; osoba przez zmorę dręczona, zwykle bywa bladą. Niektórym udaje się zmorę schwytać, i jeżeli ją zbiją i potłuką, to nazajutrz kobieta w zmorę przemieniona ciężko choruje i znaki pobicia dostrzegać się dają. Gdyby zaś kto łeb zmorze uciął, kobieta takowa nazajutrz nieżywą znalezioną będzie.

Ale wkrótce uwaga moja przeniosła się na inny przedmiot. Coraz to nowe widoki zajmowały i porywały mię prawie do siebie, a rozkwitnięta natura jak purpurowa róża, jak młodziuchne dziewczę wabiła i nęciła moją wyobraźnię, bądź to zielenią zbóż niby kobierzec rozłożonych na szerokiej przestrzeni, bądź romansowyem szumem topoli, bądź też cudną melodją wzbijającego się w górę skowronka. Minęliśmy na lewo, że tak powiem, pośród ogrodów przytuloną wioskę z wysmukłą i strzelającą w Niebo na kościele wierzyczką,—to *Mała Charłupia*, to cudowne miejsce z bogatym i pięknym obrazem Boga-Rodzicy, dokąd z rozlicznych stron ciągnie lud pobożny, szukając w wierze i modlitwie pociechy, natchnienia i pomocy do pracy. Dalej młyn wodny szumi i turkocze nad drogą; jeszcze dalej wieś *Biskupice* z karczmą na czele, wśród błota i nieporządku; potem *Bartochów*, nareszcie wśród czarujących gór i łąk *Małków* z pałacem, na wyniosłym i ocienionym pagórku, —jeszcze dalej *Dusznikі*, *Kociszuwek* — nakoniec *Warta*, cel mojej podróży. Pocztylion trąbił oberki i krakowiaki, a kiedym przez środek miasta przejeżdżał, uważałem jak otwierały się okna i lufciki — i kilka naraz rozmaitego rodzaju główek goniło mnie różnokolorowemi oczkami, aż póki im nie zniknąłem, stanąwszy na końcu miasta przed folwarkiem Wacława. Nie będę opisywał ani naszych przywitań, ani jego majątku i gospodarstwa, bo to może znudzić nie jednego; ale to tylko dodam: żem dostał na moje rozporządzenie piękny, wesoły od ogrodu pokoik, kawalerskie umeblowanie i chłopca na usługi. Wieczorem przy herbacie, żona Wacława, kobieta wesoła i rozmowna wypytawszy mnie o Warszawę i nowiny, powiedziała mi, śmiejąc się, że swoim przyjazdem do Warty całe miasto w ruch wprowadziłem.

— Bo to uważasz pan, panie Franciszku, ciągnęła dalej — trzeba dobrze znać te nasze małe miasteczka, a szczególniej też jeszcze naszą Wartę. Niech tylko tu kto obcy, do tego młody przyjedzie, tak go śledzą, tak się o niego dopytują, póty badają furmana, żydków, restauratorów, aż muszą się dowiedzieć jak się nazywa, zkąd jest i po co tu przyjechał. A już jeżeli się ekstrapoczta ukaże, no — to ciekawości nie ma granic; i dopóki nie dojdą kto nią przybył, gotowi nie jeść, nie spać i nie modlić się. Zobaczysz pan jakie to tu około nas będą zachody, żeby się dowiedzieć ktoś pan za jeden. Już dziś nawet, kiedyś pan był w swoim pokoju, pani Domradzka przechodziła około okien i ciekawie spoglądała w szyby czy co nie zobaczy. A pani Pućkowska zamowiwszy się do mnie o przepis na konfitury, wprost zapytała: co to za gość przyjechał do nas?

— I cóż pani odpowiedziałaś?

— Odpowiedziałam że jakiś dyplomata, dawny uniwersytecki Wacława kolega, przybył na świeże powietrze dla poratowania zdrowia.

— Ha, ha, ha, wyśmienicie! zawołał Wacław, zobaczycie co z tego będzie. Lecz cóż Pućkowska na to?

— Pućkowska nie czekała nawet na przepis, ale pożegnawszy mnie, czemprędzej pobiegła zaraz roznosić pożądaną wiadomość.

Nazajutrz poszliśmy na Mszą do klasztoru Bernardynów. W kościele zastaliśmy dwie tylko kobiety i jednego mężczyznę, lecz niedługo suknie zaczęły szeleścić, buty skrzypieć, i prawie wszystkie ławki zapełniły się pobożnymi mieszkańcami.

Wyszedłszy z kościoła zapytałem Wacława: czy to codzień arystokracja wartska tak licznie zbiera się na Mszą, lecz dowiedziałem się że nie, że to tylko ja —ja hrabia, polityk i Bóg wie nie kto, jestem tego przyczyną, i że dopóty będą za mną chodzili, aż mnie muszą zdybać i dowiedzieć się czego tylko chcą.

Dałem sobie słowo zachowania scisłego *incognito*, i przez jakiś czas dobrze mi się to udawało, nawet do tego stopnia, że pewnego razu pani Pućkowska, sądząc mię być jakąś znamienitą w urzędzie figurą, chciała na moje ręce składać skargę na pana *Seweryńskiego* za ustawiczne prześladowania i za nazwanie jej sową. Lecz dzięki, już nie wiem jakim sposobom, we dwa tygodnie rzecz się wykryła; zostałem poznany, obmówiony i opisany na wszystkie strony. Pani Domradzka, rozgadywała po mieście żem skrył się do Warty przed wierzycielami. Pućkowska mszcząc się za swoję omyłkę, chodziła od domu do domu i mówiła: że Wacław dla tego mnie sprowadził abym się z panną *Marją* siostrą jego żony żenił, że mnie nawet widziała jak na kolanach błagałem pannę o rączkę. Państwo Fitusińscy szeptali przyjaciołom na ucho żem wypędzony z posady, żem majątek stracił i t. d. i t. d. (*D. n.*)

TAPIR.

Tapir należy do zwierząt gruboskórnych, których jednym z przedstawicieli u nas jest świnia domowa. Główną jego ojczyzną jest Ameryka południowa, lubo w przeszłem stuleciu odkryto Tapiry w Azji, w lasach wyspy Sumatry i półwyspu Malakka. Zwierzęta te aczkolwiek łagodne i łatwo dające się oswoić, odznaczają się jednak wielką żarłocznością. Żyje zarówno pokarmem zwierzęcym, jak roślinnym, lubo właściwie, w stanie nadewszystko oswojonym, niczém nie pogardzają. Pożerają wszystko co się zdarzy na drodze, jak np. kawałki materji wełnianych i jedwabnych, papieru, skóry a nawet drzewa. Rodzaj pokarmu zdaje się dla nich obojętną rzeczą. Mieszkańcy tameczni często polują na tapiry dla ich mięsa, które jakkolwiek nie bardzo delikatne, ma być jednak nie złe do jedzenia. Sprzedają je nawet na funty w jatkach rzeźniczych, tak jak każde inne mięso. Ulubionėm jego siedliskiem są bagna, kędy całe dnie przesiaduje. Tu też zwykle kryje się ścigany przez gończe psy. Nos ma zakończony mięsistą trąbą, którą z łatwością poruszać może a nawet używać do brania pokarmu. Oczy stosunkowo do ciała, ma małe, również jak i uszy. U nóg przednich posiada po cztery a u tylnych po trzy palce, kopytkami zakończone. Skórę ma bardzo grubą, pokrytą twardą lecz rzadką szczeciną, koloru ciemno-brunatnego, która na grzbiecie tworzy rodzaj grzywy. Ogon ma krótki, mięsisty, ryję zaś niezmiernie grubą. Większy cokolwiek od zwyczajnego osła, zwyczajami przypomina dzikie świnie. Cały pogrążony nieraz w wodzie, tylko trąbę trzyma na jéj powierzchni, wcią-

gając przez nią powietrze Powolny ten zwierz, a przy tém bardzo leniwy, w dzień zwykle śpi; lecz będąc oswojony, chodzi za swym panem jak pies, poznaje go, a puszczony samopas zawsze wraca do domu. *M. K.*

ROZMAITOŚCI.

— **Orzeł Królewski.** Niejednokrotnie już Opiekun Domowy podawał szczegółowy opis rozmaitych gatunków orłów. Orłowi królewskiemu poświęcił oddzielny artykuł umieszczony w Nr. 5-m tego pisma z 1865 r. Obecnie wstrzymujemy się od powtarzania szczegółów w tymże artykule podanych, ile, że ptaki te różniąc się kształtem, nie wiele się różnią zwyczajami. Kto pozna parę gatunków, będzie mieć mniej więcej dokładne wyobrażenie o wszystkich innych. Dla specjalisty zapewnie taka znajomość nie wystarcza, ale dla ogółu czytelników mniemamy, iż będzie dostateczną, tem więcej że rysunek tu podany, różni się w szczegółach od wyobrażenia orła królewskiego pomieszczonego w Nr. 5-m Opiekuna Domowego z 1865 roku.



Tapir.

— **Podczas burzy.** Wiele osób, widząc błyskawicę oświecającą widnokrąg, lęka się grzmotu, aby nie być rażonym od pioruna. Jest to obawa niewłaściwa, bo grzmot nie zwiastuje żadnego już niebezpieczeństwa, gdyż piorun uderza równocześnie z błyskawicą; podobny jest wypadek z żołnierzem który lęka się być zabitym od kuli; gdy usłyszał wystrzał, kula bieży 400 metrów na sekundę a głos zaledwo 333. Zatem pierw zostaje ktoś uderzony, za nim usłyszy wystrzał. Grom elektryczny jest tak szybki, że uderzony nim człowiek, nie ma go czasu widzieć a tym mniej słyszeć. Gdy błyskawica zabłyśnie, to prąd elektryczny już przebiegł. Odgłos dostaje się do ucha nierównie później stosownie do odległości, jaka dzieli dostrzegacza od miejsca w które piorun uderzył. Jakkolwiek głośny będzie grzmot, nie powinien zastraszać, przeciwnie uspakajać. Przypomnieć jednak winniśmy, że podczas burzy oddalać się należy od ciał metalowych, i drzew, należy zamknąć okna, a przedewszystkiem unikać przeciągu.



Gniazdo orła królewskiego.

— **Londyńscy chirurgowie** byli niedawno w najwyższym stopniu zdumieni oryginalnem *zjawiskiem* w dziedzinie okulistyki. Pewna kobieta, po dość długiej ślepocie, została zupełnie uleczoną, a wzrok jej tak dalece stał się silny, że mogła się zajmować najtrudniejszemi robotami, wymagającemi natężenia wzroku. Do jednej tylko czynności oczy jej okazały się niezdatnemi: w żaden sposób nie mogła przeczytać drukowanych liter; probowali dawać jej do czytania biblją, ale nie była w stanie jednej litery odróżnić od drugiej. Nadzwyczajna ta okoliczność wywołała mnóstwo rozpraw, narad, utworów, ale zagadka jeszcze ciemniejszą się stawała. Niewiadomo, którego z uczonych opinja odniosłaby pierwszeństwo, gdyby nieumiejętność trzymania języka za zębami od razu nie przecięła węzła gordyjskiego: garderobiana bowiem uleczonej damy wyznała, że jej pani *czytać nie umie.*

— **Wiśnia Windzorska.** W Windzorze jest sławna wiśnia, rosnąca w pobliżu muru ogrodowego, którą zasadził naczelnik panującej obecnie dynastyi—Jerzy I, koronowany na króla Wielkiej Brytanji w 1714 r. Monarcha ten zaszczepił ją własnoręcznie około 1725 r. Był on wielkim amatorem owoców, i jak wiadomo umarł z niestrawności, objadłszy się melonem w r. 1727. Wiśnia rzeczona jest niemal zupełnie wewnątrz wydrążona, pomimo to jednak gałęzie jej dziś jeszcze wydają bardzo piękne i smaczne wiśnie. Przeznaczone zaś są do wyłącznego użytku królowej Wiktoryi. Czasami jednak królowa posyła kilka tych owoców rozmaitym osobom w darze, Lord Palmerston często utrzymywał wiśnie windzorskie od swojej władczyni. Jerzy IV, który również jak jego przodek, bardzo lubił wiśnie, postawił straż przy wiśni Windzorskiej, do której żaden człowiek obcy nie miał dostępu.

— **Upały.** W Anglji panują niesłychane upały; 15 Lipca najwyższe gorąco dochodziło 88° Cels. w cieniu a 111° na słońcu. W Liwerpoolu było 123° na słońcu. Podług Reamura stopnie powyższe odpowiadać będą: 25, 35 i 40° ciepła. Zważyć przytem należy, że obliczenia na słońcu nie mogą być ściśle prawdziwe, albowiem zależą od wielu przypadkowych okoliczności. Dnia 16 Lipca w Londynie było o godzinie 8-ej rano 18 stopni podług Reaumura; większego gorąca o tak rannej godzinie nie pamiętają tu od najdawniejszych czasów. Niezwykła ta temperatura zgubnie oddziaływa nietylko na pola, ale i na ludzi. Było już kilka wypadków apopleksji od upałów. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej mają panować jeszcze większe, jeżeli to być może, upały. Tu nawet termometry znieść nie mogą strasznego gorąca i pękają. W ciągu jednego dnia padło na ulicach Nowego-Yorku od upałów około dwóch set koni. Ludzie także nie mniej cierpią. Trzydziestu ludzi jednego dnia zostało tkniętych apopleksją, a sześciu z nich nagłą zmarło śmiercią. W nocy gorąco również jest nie do wytrzymania jak we dnie. 20 Lipca w Nowym-Yorku, od pierwszej godziny po południu do szóstej wieczorem, dwudziestu sześciu ludzi umarło od przepalenia na słońcu.

Koniec Kwartału III-go 1868 r.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.